

JUSTIN CRONIN

AUTOR BESTSELLEROWEGO *PRZEJŚCIA*

TO JESZCZE NIE KONIEC

MIASTO LUSTER

ALBATROS

1

ŚRODKOWA PENSYLWANIA

*Sierpień, 98 rok po wybuchu epidemii
Osiem miesięcy po wyzwoleniu Ojczyzny*

Ziemia ustępowała pod nożem, wyzwalając czarny zapach. Powietrze było gorące i wilgotne, ptaki śpiewały w koronach drzew. Alicia klęczała, dźgając glebę, odłupując grudy, które następnie wybierała garściami. Była już silniejsza, ale daleka od pełni sił. Jej ruchom brakowało koordynacji, ciało wydawało się nieposłuszne, wycieńczone. Wciąż nękały ją ból i wspomnienie bólu. Minęły trzy dni... czy może ten był czwarty? Pot perlił się na jej twarzy. Oblizwała usta, żeby poczuć smak soli. Kopała i kopała. Strużki potu ściekały na ziemię. Tam w końcu każdy idzie, pomyślała. Wszystko idzie do ziemi.

Kopiec obok niej rósł. Jak głęboko trzeba kopać? Na głębokości metra ziemia zaczęła się zmieniać. Zrobiła się zimniejsza, pachnąca gliną. Alicia uznała to za znak. Zakołysała się na piętach i pociągnęła długi łyk z manierki. Ręce miała obtarte do żywego mięsa; u podstawy kciuka zwisał naddarty płat skóry. Przyłożyła dłoń do ust, odgryzła go i wypłuła.

Żołnierz czekał na nią na skraju polany, głośno żując wysoką do pasa trawę. Był pełen gracji, miał gęstą grzywę, karo-dereszowatą maść, mocne kopyta i zęby, duże czarne oczy; otaczała go aura splendoru. Kiedy chciał, zachowywał absolutny spokój, a w następnej chwili dokonywał niezwykłych wyczynów. Uniósł mądry łeb, gdy usłyszał jej kroki. Widzę. Jesteśmy gotowi. Powoli się obrócił, wyginając szyję, i poszedł za nią przez las do miejsca, gdzie wisiała rozpięta plandeka. Na ziemi obok zakrwawionego posłania leżało małe zawiniątko z poplamionego koca. Jej córka nie przeżyła godziny, jednak w tym czasie Alicia stała się matką.

Żołnierz patrzył, gdy wyszła spod plandeki. Odsłoniła twarz dziecka. Żołnierz zbliżył pysk do drobnej buzi i rozdał chrapy, wdychając zapach. Małeńki nos, oczy i usteczka jak pączek róży, zdumiewające w swoim człowieczeństwie; główkę okrywała czapeczka miękkich rudych włosów. Ale nie było życia, nie było oddechu. Kiedyś Alicia zastanawiała się, czy będzie zdolna pokochać dziecko poczęte w przerażeniu i bólu, spłodzone przez potwora. Przez mężczyznę, który ją bił, gwałcił, przeklinał. Jakże była głupia.

Wróciła na polanę. Słońce świeciło wysoko na niebie, w trawie brzęczały owady, dając koncert rytmicznego pulsowania. Żołnierz stał obok niej, gdy składała córkę do grobu. W chwili rozpoczęcia porodu Alicia pograżyła się w modlitwie. *Niech wszystko będzie dobrze*. Gdy godziny zwały się w pasmo cierpienia, poczuła w sobie zimną obecność śmierci. Rozdzierał ją ból niczym stalowy wiatr tłukący się w jej komórkach, niosący echo grzmotów. Coś było nie w porządku. *Proszę, Boże, chroń mnie, chroń nas*. Modlitwy trafiały w próżnię.

Pierwsza garść ziemi była najtrudniejsza. Jak to się robi? Alicia pochowała wielu mężczyzn. Jednych знаła, innych nie; tylko jednego kochała. Chłopca, Cholewkę. Był zabawny, pełen życia, a potem odszedł. Przesiała ziemię przez palce. Grudki spadły na kocyk z cichym bębnieniem, jak pierwsze krople deszczu na liście. Jej córka zniknęła kawałek po kawałku. Żegnaj, pomyślała Alicia, żegnaj, moje kochanie, moja jedyna.

Wróciła do namiotu. Miała wrażenie, że jej dusza roztrzaskała się na milion okruchów szkła, a kości przemieniły się w ołowiane rury. Potrzebowała wody, żywności; zapasy się skończyły. Polowanie nie wchodziło w rachubę, a strumień płynący pięć minut drogi stąd, w dole, wydawał się odległy o całe kilometry. Potrzeby ciała... czy miały jakieś znaczenie? Nic nie miało znaczenia. Położyła się na posłaniu, zamknęła oczy i wkrótce zasnęła.

Śniła o rzece. O szerokiej, mrocznej rzece, nad którą świecił księżyc. Blask padał na wodę, tworząc złotą ścieżkę. Alicia nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ścieżka i co ją czeka po drugiej stronie. Wiedziała tylko

tylę, że musi się tam znaleźć. Zrobiła pierwszy ostrożny krok po rozja-
rzonej powierzchni. Jej umysł wydawał się podzielony: jedna połowa,
w przeciwieństwie do drugiej, nie posiadała się ze zdumienia nad tym
sposobem przemieszczania się. Gdy księżyc zetknął się z przeciwnym
brzegiem, zrozumiała, że dała się zwieść. Błyszcząca ścieżka znikła.
Alicia przyśpieszyła do biegu, rozpaczliwie pragnąc dotrzeć na drugą
stronę, zanim pochłonie ją rzeka. Ale odległość była zbyt wielka i z każ-
dym krokiem brzeg się oddalał. Woda pluskała wokół jej kostek, kolan,
talii. Alicia nie miała siły z nią walczyć. *Chodź do mnie, Alicio. Chodź
do mnie, chodź do mnie, chodź do mnie.* Tonęła, rzeka ją zabierała, po-
grążała się w ciemności...

Zbudziła się w stonowanym pomarańczowym świetle; dzień zbliżał
się do końca. Leżała w bezruchu, zbierając myśli. Przywykła do tych
koszmarów; ich fragmenty się zmieniały, ale nigdy nie poczuła darem-
ności i strach. Tym razem jednak coś było inaczej. Jakiś aspekt snu wdarł
się w jej życie. Miała mokrą koszulę. Spojrzała w dół i zobaczyła po-
większające się plamy. W piersiach miała mleko.

■ ■ ■

Decyzja o tym, żeby zostać, nie narodziła się świadomie. Alicii po
prostu brakowało woli, by ruszyć w drogę. Odzyskała siły. Podchodziły
małymi krokami, aż w końcu, jak długo oczekiwani goście, przybyły
wszystkie naraz. Zbudowała schronienie ze zwalonych gałęzi oraz pną-
czy i zadasyła je plandeką. Lasy tętniły życiem; były tam wiewiórki i
króliki, przepiórki i gołębie, a także jelenie. Niektóre zwierzęta okazy-
wały się dla niej zbyt szybkie, ale nie wszystkie. Zastawiała pułapki i
czekała albo polowała z łukiem: jeden strzał, czysta śmierć, a później
surowa ciepła kolacja. Pod koniec każdego dnia, gdy światło przygasa-
ło, kąpała się w potoku. Woda była czysta i szokująco zimna. Podczas
jednej z takich wypraw miała okazję zobaczyć niedźwiedzie. Usłysza-
ła szelest – dziesięć metrów w górę strumienia coś ciężkiego poruszało
się w krzakach. Po chwili na brzegu pojawiła się matka z dwójką mło-
dych. Alicia dotychczas widziała takie stworzenia tylko na ilustracjach

w książkach. Zwierzęta razem krążyły po płyciznach, poruszając błoto pyskami. Wyglądały dziwnie, jakby coś w ich anatomii było poluzowane i na wpół uformowane, jakby mięśnie były za słabo połączone ze skórą pod zmierzwionym grubym futrem. Otaczała je chmara owadów migoczących w resztkach dziennego światła. Niedźwiedzie nie spostrzegły, że je obserwuje, a jeśli nawet, uznały ją za niegodną uwagi.

Lato dobiegło końca. Jednego dnia otaczał ją świat dużych zielonych liści, zagęszczonych cieniem, a drugiego lasy wybuchły feerią kolorów. Rankiem oszroniona ściółka chrzęściła pod nogami. Chłód zimy spadł wraz z wrażeniem czystości. Na ziemi zaległa gruba warstwa śniegu. Czarne kontury drzew, drobne ślady ptaków, wybielone, wyprane z koloru niebo: wszystko zostało zredukowane do samej esencji. Jaki to miesiąc? Jaki dzień tygodnia? W miarę upływu czasu zaczęło brakować jedzenia. Alicia godzinami, nawet całymi dniami, ledwie się poruszała, oszczędzając siły. Od prawie roku nie rozmawiała z żywą duszą. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że już nie myśli słowami, jakby stała się leśnym stworzeniem. Zastanawiała się, czy traci zmysły. Zaczęła mówić do Żołnierza, jakby był człowiekiem. „Żołnierzu, co zjemy na kolację?”, „Żołnierzu, nie sądzisz, że pora zebrać chrust na ognisko?”, „Żołnierzu, czy niebo wygląda jak śnieg?”...

Pewnej nocy zbudziła się w schronieniu i zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu słyszy bijące pioruny. Wilgotny wiosenny wiatr dął zewsząd i znikąd, tarmosząc czubami drzew. Alicia z obojętnością słuchała nadciągającej szybko burzy. Nagle błyskawica rozdarła niebo, zamrażając scenę w jej oczach, i zaraz potem zabrzmiął ogłuszający trzask. Gdy lunęła ulewa i krople deszczu zaczęły uderzać jak kule, Alicia wprowadziła Żołnierza do schronienia. Koń drżał z przerażenia. Wiedziała, że musi go uspokoić, bo wystarczy jeden spanikowany ruch w maleńkiej przestrzeni, a jego masywne ciało roztrzaska ściany na kawałki. „Grzeczny konik”, mruzczała, gładząc go po boku. Wolną ręką zarzuciła mu postronek na szyję. „Grzeczny, grzeczny konik. Co ty na to? Dostrzymasz dziewczynie towarzystwa w deszczową noc?” Był sztywny ze strachu, góra naprężonych mięśni, a jednak kiedy powoli pociągnęła za sznur, żeby się położył, nie stawiał oporu. Na zewnątrz zamigotała błę-

skawica, zadudnił grzmot. Z potężnym sapnięciem koń padł na kolana i przewrócił się na bok przy posłaniu Alicii, i tak razem spali, gdy deszcz przez całą noc zmywał zimę.

■ ■ ■

Koczowała w tym miejscu przez dwa lata. Odejście było niełatwe, bo lasy niosły jej ukojenie. Przyjęła ich rytm za własny. Kiedy jednak nastąpiło trzecie lato, zbudziło się w niej nowe uczucie: nadszedł czas, żeby ruszyć w drogę. Żeby ukończyć to, co rozpoczęła.

Resztę lata spędziła na przygotowaniach, które obejmowały skonstruowanie broni. Wybrała się na piechotę do nadrzecznych miasteczek i trzy dni później wróciła, dźwigając pobrzękującą torbę. Rozumiała podstawy tego, na co się porywa, bo wiele razy widziała ten proces. Uznała, że szczegóły dopracuje metodą prób i błędów. Wybrała płaski gładki przystrumieniu z myślą, że posłuży za kowadło. Na skraju wody roznieciła ogień i patrzyła, jak wypala się do żaru. Sztuka polegała na utrzymaniu odpowiedniej temperatury. Gdy uznała, że jest taka jak trzeba, wyjęła z worka pierwszy zakup: długą prawie na metr sztabę stali narzędziowej, grubości sześciu milimetrów i szerokości pięciu centymetrów. Wyciągnęła też młotek, cęgi i grube skórzane rękawice. Wsunęła koniec sztaby w żar i patrzyła, jak zmienia kolor. Gdy metal się rozgrzał, przystąpiła do pracy.

Jeszcze trzy razy wyprawiała się w dół rzeki po zapasy, z lepszym lub gorszym skutkiem, ale ostateczny rezultat sprawił jej satysfakcję. Okręciła rękojeść szorstkimi włóknistymi pnączami i po raz pierwszy porządnie chwyciła gładki metal. Miecz przyjemnie ciążył jej w dłoni. Wypolerowany sztych połyskiwał w słońcu. Ale prawdziwą próbą będzie pierwsze cięcie. Podczas ostatniej wyprawy w dół rzeki skrzyła na poletko melonów wielkości ludzkiej głowy, rosnących w gęszczu rozcapierzonych palczastych liści. Wybrała jeden owoc, wrzuciła do worka i zabrała do domu. Tam postawiła go na zwalonym pniu, przymierzyła się i spuściła miecz, zakreślając ostrzem pionowy łuk. Połówki melona rozstały się leniwie, jakby oszołomione, i spadły na ziemię.

Nic jej tam nie trzymało. W noc przed odejściem odwiedziła grób córki. Nie chciała tego robić w ostatniej chwili. Rozstanie powinno być

czyste. Przez dwa lata niczym nie oznaczyła tego miejsca, bo nic nie wydawało się godne. Teraz jednak czuła, że nie wypada zostawiać bezimiennnej mogiły. Z resztek stali wykuła krzyż, młotkiem wbiła go w ziemię i ukłękła. Z ciała już nic nie zostało, może tylko kilka kości albo ich odciski. Jej córka odeszła w głąb, drzewa, skały, nawet w niebo i zwierzęta. Odeszła w niewiadome miejsce. Jej głos, którego nie miała okazji wypróbować, brzmiał w śpiewie ptaków, a rude kędziorki widniały w płomienistych liściach jesieni. Alicia dumiała o tym wszystkim, dotykając miękkiej ziemi. Ale nie miała w sobie więcej modlitw. Serce, raz pęknięte, już takie pozostało.

– Wybacz – szepnęła.

Ranek niczym się nie wyróżniał – bezwietrzny, szary, mglisty. Miecz w pochwie z jeleniej skóry ukośnie spoczywał na jej plecach, a bandolierzy z nożami krzyżowały się na piersi. Podobne do gogli ciemne okulary ze skórzanymi osłonami na skroniach skrywały jej oczy. Alicia przytroczyła sakwę i wskoczyła na grzbiet Żołnierza. Koń od wielu dni zachowywał się niespokojnie, jakby przeczuwał, że wyruszą w drogę. *Chcesz zrobić to, co myślę? Wiesz, właściwie tu mi się podobało.* Planowała jechać na wschód wzdłuż rzeki i nie odstępować od niej w drodze przez góry. Przy odrobinie szczęścia dotrze do Nowego Jorku, zanim spadną pierwsze liście.

Zamknęła oczy, opróżniła umysł. Wiedziała, że dopiero wtedy, gdy oczyści tę przestrzeń, napłynie głos. Nadciągnął z tego samego miejsca, z którego pochodzą sny, jak wiatr dmący z głębi jaskini, szepczący jej do ucha.

Alicio, nie jesteś sama. Znam twój smutek, ponieważ jest moim smutkiem. Czekam na ciebie. Przyjdź do mnie. Wróć do domu.

Piętami trąciła boki Żołnierza.

2

Dzień się kończył, gdy Peter wracał do domu. Ponad nim bezkresne niebo Utah pękało, otwierając się w długich szczelinach koloru nagle ciemniejszego błękitu. Wczesnojesienny wieczór: noce zimne, a dni

jeszcze przyjemne. Szedł wzdłuż pomrukującej rzeki z wędką na ramieniu, z psem hasającym u boku. Miał w torbie dwa tłuste pstrągi, owinięte w złote liście.

Gdy zbliżył się do zagrody, usłyszał muzykę. Ściągnął ubłocone buty i wraz z torbą zostawił na ganku. Wszedł do domu. Amy siedziała przy starym pianinie, plecami do drzwi. Podeszedł i stanął za nią. Była tak głęboko skupiona, że go nie zauważyła. Słuchał, stojąc bez ruchu, ledwie oddychając. Amy lekko się kołysała w takt muzyki. Jej palce zwinnie pomykały po klawiaturze, nie tyle grając tony, ile je wywołując. Melodia była dźwiękowym ucieleśnieniem czystych emocji. Wyrażała głęboki smutek, ale przepojony taką czułością, że wcale nie wydawała się smutna. Sprawiała, że Peter pomyślał o czasie, który zawsze odpływa w przeszłość, stając się wspomnieniem.

– Wróciłeś.

Nawet nie zauważył, że skończyła grać. Położył ręce na jej ramionach, a ona przesunęła się na ławeczce i odchyliła głowę.

– Chodź tu – powiedziała.

Pochylił się, żeby mogła go pocałować. Jej oszałamiające piękno było dla niego nowym odkryciem za każdym razem, gdy na nią spoglądał. Ruchem głowy wskazał klawiaturę.

– Wciąż nie wiem, jak ty to robisz.

– Podobało ci się? – Uśmiechała się. – Ćwiczyłam cały dzień.

Odparł, że tak, bardzo mu się podobało. Wyznał, że ta melodia nasuwała mu wiele myśli. Trudno było ująć to w słowa.

– Jak rzeka? Długo cię nie było.

– Tak? – Dzień, jak wiele innych, minął w mgiełce zadowolenia. – O tej porze roku jest tak pięknie, że chyba straciłem poczucie czasu. – Pocałował ją w czubek głowy. Włosy miała świeżo umyte, pachnące ziołami, których używała do zmiękczenia ługu. – Graj. Przygotuję kolację.

Wyszedł przez kuchnię na podwórze. Barwy ogrodu przygasły, niebawem ogród uśnie pod śniegiem, resztki jego przepychu rozpoczną zimowanie. Pies gdzieś się wałęsał. Zataczał szerokie kręgi wokół domu, ale Peter się o niego nie martwił, bo zawsze przed zmierzchem znajdował drogę powrotną. Napompował wody do miski, ściągnął koszulę,

ochlapał wodą twarz i pierś, po czym wytarł się do sucha. Rykoszetujące od wzgórz ostatnie promienie słońca sprawiały, że na ziemi kładły się długie cienie. Była to pora dnia, którą lubił najbardziej – wrażenie, że wszystko się stapia, że wszystko trwa w stanie zawieszenia. Gdy ciemność się pogłębiała, patrzył na pojawiające się gwiazdy: jedna, druga, następna. Pora była taka jak melodia Amy: połączone wspomnienia i tęsknota, szczęście i smutek, początek i koniec.

Rozpalił ognisko, umył oprawione ryby, umieścił delikatnie białe mięso w rondlu i dodał trochę smalcu. Amy wyszła z domu i siedzieli razem, patrząc na dochodzącą potrawę. W kuchni przy świeczce zjedli pstrąga, pokrojone w plastry pomidory, ziemniaki pieczone w ognisku, a później jabłko na spółkę. Napalili w kominku w bawialni i siedzieli na kanapie, okryci kocem, z psem jak zwykle wylegającym się u ich stóp. W milczeniu patrzyli w płomienie. Nie odczuwali potrzeby wymiany słów, bo powiedzieli już sobie wszystko, co mieli do powiedzenia; wszystkim się podzielili i wszystko o sobie wiedzieli. Po jakimś czasie Amy wstała i wyciągnęła rękę.

– Chodź ze mną do łóżka.

Zabrali świeczki i weszli po schodach. W małej sypialni na poddaszu rozebrali się i skulili pod kołdrami, przytuleni dla ciepła. Pies przeciągle westchnął i legł na podłodze w nogach łóżka. Dobrze stare psisko, wierne jak lew, miało tam trwać do rana, czuwając nad nimi. Peter rozkoszował się bliskością i ciepłem ich ciał, wspólnym rytmem oddechu, odczuwając nie szczęście, ale coś głębszego, bogatszego. Przez całe życie chciał być znany tylko przez jedną osobę. Na tym polega miłość, uznał. Na wzajemnym poznaniu.

– Peter? Co jest?

Minął jakiś czas. Jego umysł, unoszący się w bezwymiarowej przestrzeni pomiędzy snem i jawą, zawędrował do starych wspomnień.

– Myślałem o Theo i Maus. O tamtej nocy w stodole, o ataku. – Przepłynęła jakaś myśl, tuż poza zasięgiem. – Mój brat nigdy się nie dowiedział, co zabiło wirola.

Amy milczała przez chwilę.

– To ty, Peter. Ty ich ocaliłeś. Mówiłam ci... nie pamiętasz?

Rzeczywiście mówiła? A jeśli tak, to co przez to rozumiała? Przecież był wówczas w Kolorado, wiele kilometrów i dni dalej. Jak mógłby tego dokonać?

– Wyjaśniłam ci, jak to działa. Ta zagroda jest wyjątkowa. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są jednym i tym samym. Byłeś w stodołę, ponieważ musiałeś tam być.

– Ale niczego nie pamiętam.

– Dlatego, że to się jeszcze nie wydarzyło. Nie dla ciebie. Nadejdzie jednak czas, kiedy się wydarzy. Będziesz tam, żeby ich uratować. Żeby uratować Caleba.

Caleb, jego chłopiec. Nagle przytłoczył go smutek przemieszany z głęboką, pełną tęsknoty miłością. Oczy zapiekły go od łez, wzruszenie dławilo go w gardle. Tyle lat. Minęło tyle lat.

– Ale teraz jesteśmy tutaj – powiedział. – Ty i ja, w tym łóżku. To jest prawdziwe.

– Na świecie nie ma już niczego prawdziwego. – Przytuliła się do niego. – Nie martwmy się tym teraz. Wiem, że jesteś zmęczony.

Był zmęczony. Bardzo, bardzo zmęczony. Czuł lata w kościach. W jego umyśle osiadło wspomnienie, jak przeglądał się w rzece. Kiedy to było? Dzisiaj? Wczoraj? Tydzień temu, miesiąc, rok? Słońce stało wysoko, tworząc skrzące się lustro na powierzchni wody. Jego odbicie faloowało w nurcie. Głębokie zmarszczki i obwisłe policzki, wory pod oczami zmęczonymi przez czas, przerzedzone włosy białe jak śniegowa czapka. Patrzył na twarz starca.

– Czy... ja umarłem?

Amy nie odpowiedziała. Peter wtedy zrozumiał, co mu mówi. Nie tylko to, że umrze jak każdy, ale że śmierć nie jest końcem. Zostanie w tym miejscu, czuwający duch na zewnątrz murów czasu. Oto klucz do wszystkiego, otwierający drzwi, za którymi leży odpowiedź na wszystkie tajemnice życia. Pomyślał o dniu, kiedy przybył do zagrody, bardzo dawno temu. Wszystko w niewytłumaczalny sposób było nienaruszone, spiżarnia zaopatrzona, zasłony w oknach i talerze na stole jakby na nich czekały. Tym właśnie było to miejsce. Jego jedynym prawdziwym domem na świecie.

Leżąc w ciemności, czuł pierś puchnącą z zadowolenia. Stracił wiele rzeczy i nie brakowało też ludzi, którzy odeszli. Wszystko umierało. Nawet sama ziemia, niebo i rzeki, i umiłowane przez niego gwiazdy pewnego dnia osiągną kres istnienia. Ale nie było to coś, czego należy się obawiać, i na tym polegało zaprawione kroplą goryczy piękno życia. Wyobraził sobie chwilę swojej śmierci. Wizja była tak silna, jakby nie tyle widział ją w wyobraźni, ile wspominał. Leży w tym samym łóżku, jest letnie popołudnie i Amy go obejmuje. Wygląda zupełnie jak teraz, silna, piękna i pełna życia. Łóżko stoi przodem do okna, przez zasłony sący się rozproszone światło. Nie ma bólu, jest tylko wrażenie rozpadu. „W porządku, Peter – mówi Amy. – Wszystko w porządku. Niebawem znów będziemy razem”. Światło staje się coraz jaśniejsze, najpierw przepełnia jego oczy, a później świadomość, i tak oto Peter odchodzi: odpływa na falach światła.

– Tak bardzo cię kocham – powiedział.

– A ja kocham ciebie.

– To był cudowny dzień, prawda?

Skinęła głową, przytulona do niego.

– I będzie ich znacznie więcej. Ocean dni.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Na zewnątrz trwała zimna, cicha noc.

– To była piękna melodia – odezwał się. – Cieszę się, że znalazłem to pianino.

I z tymi słowy, skuleni razem w dużym, miękkim łóżku na poddaszu, odpłynęli w sen.

■ ■ ■

Cieszę się, że znalazłem to pianino.

To pianino.

To pianino.

To pianino...

Peter wzniósł się na poziom świadomości i stwierdził, że jest nagi, okręcony mokrymi od potu prześcieradłami. Przez chwilę leżał w bezruchu. Czy był...? I nie był...? W ustach czuł taki smak, jakby jadł piasek, pęcherz ciążył mu niczym kamień. Za oczami pierwsze dżgnięcie kaca zapowiadało długi, męczący dzień.

– Sto lat, poruczniku.

Lore leżała obok niego. Nie tyle obok, ile owinięta wokół niego; ich ciała były splecione i śliskie od potu w miejscu, gdzie się stykały. Korzystali wcześniej z tej chałupy – z tylko dwoma izbami i wychodkiem na tyłach – choć nie wiedział, do kogo należy. Okienko nad łóżkiem było szarym prostokątem przedświtę letniego dnia.

– Najwyraźniej z kimś mnie mylisz.

– Och, wierz mi – położyła palec pośrodku jego piersi – nie ma mowy o pomyłce. Jak się czujesz, mając trzydzieści lat?

– Jak dwudziestodziewięciolatek z pękającą głową.

Posłała mu uwodzicielski uśmiech.

– Cóż, mam nadzieję, że podobasz się sobie taki. Wybacz, że zapomniałam o kartce.

Odrzuciła prześcieradła, usiadła na brzegu łóżka i podniosła koszulę z podłogi. Miała szerokie, silne ramiona i długie włosy, które wiązała w koński ogon. Wcisnęła się w brudne spodnie, wsunęła stopy w buty. Obróciła się nieco i spojrzała na niego.

– Wybacz, że zrykam, *mi amigo*, ale muszę odprawić cysterny. Zrobiłabym ci śniadanie, tylko poważnie wątpię, czy jest z czego. – Pochyliła się, żeby szybko pocałować go w usta. – Pozdrów ode mnie Caleba, dobrze?

Chłopiec spędził noc u Sary i Hollisa. Żadne z nich nie zapytało Petera, dokąd idzie, chociaż z pewnością domyślali się, co zamierza.

– Dobrze – rzucił.

– Zobaczymy się, jak następnym razem będę w mieście? – Nie odpowiedział, więc przechyliła głowę i spojrzała na niego. – A może... raczej nie.

W zasadzie nie miał odpowiedzi. Nie łączyła ich miłość – ten temat nigdy się nie pojawił – ale było to coś więcej niż fizyczne pożądanie. Uczucie wpadało w szarą strefę pomiędzy; nie będąc ani jednym, ani drugim, i właśnie na tym polegał problem. Przebywanie z Lore przypominało mu o tym, czego nie mógł mieć.

Posmutniała.

– Cholera. A ja tak piekielnie cię lubiłam, poruczniku.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Westchnęła, odwracając wzrok.

– Przypuszczam, że to nie miało szans na przetrwanie. Żałuję, że nie pomyślałam, żeby rzucić cię pierwsza.

– Przepraszam. Nie powinienem pozwolić, żeby sprawy zaszły tak daleko.

– Wierz mi, przejdzie. – Zadarła głowę, patrząc w sufit, i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, po czym przepędziła łzę. – Pieprzyć to, Peter. Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś?

Czuł się okropnie. Nie przewidział czegoś takiego. Jeszcze minutę temu był pewien, że oboje będą dryfować, niesieni nurtem tego, cokolwiek to było, aż w końcu stracą sobą zainteresowanie albo ktoś nowy pojawi się w ich życiu.

– Nie chodzi o Michaela, prawda? – zapytała Lore. – Bo już ci mówiłam, że między nami koniec.

– Sam nie wiem – mruknął, po czym przyznał: – Dobra, może trochę. Dowie się, jeśli będziemy to ciągnąć.

– No to się dowie... i co z tego?

– Jest moim przyjacielem.

Otarła oczy i parsknęła cichym, pełnym gorzkości śmiechem.

– Twoja lojalność jest godna podziwu, ale możesz mi wierzyć, zajmuję ostatnie miejsce na jego liście ważnych spraw. Pewnie ci podziękuję, że dzięki tobie ma mnie z głowy.

– To nieprawda.

Wzruszyła ramionami.

– Mówisz to tylko dlatego, że jesteś miły. I może właśnie dlatego tak bardzo cię lubię. Ale nie musisz kłamać. Oboje wiemy, co robimy. Ja wciąż sobie powtarzam, że wyrzucę go z pamięci, chociaż oczywiście tego nie robię. Wiesz, co mnie dobija? Nawet nie może powiedzieć mi prawdy. Ten cholerny rudzielec! O co chodzi z tą dziewczyną?

Peter przez chwilę czuł się zagubiony.

– Mówisz o... Alicii?

Lore spojrzała na niego ostro.

– Peter, nie bądź tępakiem. Jak sądzisz, co Michael robi w tej swojej

durnej łodzi? Minęły trzy lata, odkąd Alicia zniknęła, a on wciąż nie może o niej zapomnieć. Gdyby rzeczywiście gdzieś była, może wtedy miałabym szanse. Ale przecież nie można rywalizować z duchem.

Przemyślenie tych słów zajęło mu dłuższą chwilę. Gdyby przed minutą ktoś go spytał, nie powiedziałby, że Michael choć trochę lubił Alicię, bo przecież od zawsze darli koty. Ale w głębi duszy wiedział, że tak naprawdę wcale się nie różnili – te same pokłady siły, ta sama determinacja, to samo nieprzyjmowanie do wiadomości odmowy, gdy jakiś pomysł wpadał im do głowy. I oczywiście łączyły ich długie wspólne dzieje. A te wyprawy Michaela łodzią? Czy były jakąś formą żałoby po Alicii? Każdy przeżywał jej zniknięcie po swojemu. Przez pewien czas Peter był na nią zły. Porzuciła ich bez słowa wyjaśnienia, nawet się nie pożegnała. Ale wiele się zmieniło... świat się zmienił. Teraz czuł głównie czysty ból samotności... i puste zimne miejsce w sercu, kiedyś zajmowane przez Alicię.

– Co do ciebie – podjęła Lore, przecierając oczy nadgarstkiem – nie wiem, kim ona jest, ale to szczęściara.

Zaprzeczanie nie miało sensu.

– Naprawdę przepraszam.

– Już to mówiłeś. – Ze zranionym uśmiechem zacisnęła ręce na kolanach. – Cóż, mam swoją ropę. Dziewczyna raczej nie może prosić o więcej. Bądź tak miły i czuj się jak świnia, dobra? Nie za długo. Tydzień, dwa wystarczą.

– Już się czuję jak świnia.

– Dobrze. – Pochyliła się i pocałowała go namiętnie. Jej pocałunek smakował łzami. Gwałtownie się odsunęła. – Na pożegnanie. Do zobaczenia, poruczniku.

■ ■ ■

Słońce wschodziło, gdy wszedł po schodach na szczyt zapory. Kac zagnieździł się na dobre i Peter wiedział, że dzień wymachiwania młotkiem na rozpalonym dachu niczego nie polepszy. Godzina snu załatwiłaby sprawę, ale po rozmowie z Lore chciał oczyścić umysł przed pójściem do pracy.

Wstający dzień powitał go na tamie, ze światłem złagodzone przez warstwę niskich chmur, które miały zniknąć w ciągu godziny. Od czasu gdy odszedł z sił ekspedycyjnych, zapora stała się w jego myślach miejscem o totemicznym znaczeniu. Któregoś dnia przed brzemienną w skutki wyprawą do Ojczyzny sprowadził tu bratanka. Nie działo się nic godnego uwagi. Chłonąc widoki, rozmawiali o misjach Petera z czasów służby w wojsku i o rodzicach Caleba, Theo i Maus. W końcu zeszli na dół, żeby popływać, czego Caleb nigdy wcześniej nie robił. Zwyczajna wycieczka, jednak pod koniec dnia coś się zmieniło. W sercu Petera otworzyły się drzwi. W owym czasie tego nie rozumiał, ale po ich drugiej stronie czekało nowe podejście do życia, obejmujące przyjęcie ojcowskiej odpowiedzialności za chłopca.

Takie było jego jedno życie, to, o którym wiedzieli ludzie. Peter Jaxon, oficer wojsk ekspedycyjnych w stanie spoczynku, został cieślą i ojcem, obywatelem Kerrville w Teksasie. Wiódł życie jak każdy inny, z jego troskami i radościami, ze wzlotami i upadkami, z lepszymi i gorszymi dniami, i był z tego zadowolony. Caleb skończył dziesięć lat. W przeciwieństwie do Petera, który w tym wieku już służył jako goniec w straży, chłopiec miał prawdziwe dzieciństwo. Chodził do szkoły, bawił się z kolegami, wypełniał obowiązki bez szczególnego ponagłania i tylko czasami się skarżył; co wieczór Peter kładł go do łóżka i chłopiec odpływał w sny w bezpiecznym przeświadczeniu, że jutrzejszy dzień będzie dokładnie taki sam jak dzisiejszy. Był wysoki na swój wiek, jak na Jaxona przystało, i z jego twarzy już zaczynała znikać dziecięca miękkość. Z dnia na dzień coraz bardziej przypominał ojca, Theo, chociaż już nie poruszał tematu rodziców. Peter nie unikał rozmowy – bratanek po prostu nie pytał. Pewnego wieczoru – gdy mieszkali razem już od sześciu miesięcy – lekkim tonem, jakby mówił o pogodzie, zapytał: „Mogę nazywać cię tatą?”. Peter nie krył zaskoczenia, bo tego nie przewidywał. „Na pewno chcesz?” – zapytał. Chłopiec pokiwał głową. „Aha – mruknął Peter. – Chyba tak będzie dobrze”.

Co do drugiego życia, Peter nie mógłby powiedzieć, jakie było; wiedział tylko to, że istnieje i że trwa w nocy. Jego sny o zagrodzie obejmowały wachlarz dni i wydarzeń, ale ich wymowa zawsze była taka sama:

towarzyszyło im poczucie przynależności, domu. Sny były tak żywe, że budził się z wrażeniem, że naprawdę przenosił się do tamtego miejsca i czasu, jakby godziny jawy i snu stanowiły dwie strony tej samej monety i obie były jednakowo prawdziwe.

Czym były te sny? Skąd się brały? Czy były wytworem jego umysłu, czy może pochodziły z zewnętrznego źródła – od Amy? Peter nikomu nie powiedział o pierwszej nocy ewakuacji z Iowa, kiedy Amy do niego przysła. Miał ku temu wiele powodów, ale najważniejszy z nich był taki, że brakowało mu pewności, czy to zdarzyło się naprawdę. Zbudził się z głębokiego snu z córką Sary i Hollisa, śpiącą mu na kolanach – oboje byli opatuleni, by chronić się przed zimnem Iowa – pod niebem tak pijanym gwiazdami, że zdawał się unosić wśród nich. I była tam Amy. Nie rozmawiali, nie musieli. Dotyk ich rąk wystarczył. Chwila trwała wiecznie i skończyła się w okamgnieniu. A Amy zniknęła.

Czy to zdarzenie też mu się przyśniło? Dowody mówiły, że tak. Wszyscy uważali, że Amy zginęła na stadionie, unicestwiona przez wybuch, który zabił Dwunastu. Nie znaleziono po niej ani śladu. Jednak ta chwila wydawała się taka realna. Czasami Peter był przekonany, że Amy wciąż gdzieś jest, lecz zaraz potem zakradały się wątpliwości. W końcu postanowił zachować te pytania dla siebie.

Stał przez jakiś czas, patrząc na słońce zalewające blaskiem teksańskie wzgórza. W dole nieruchoma powierzchnia zbiornika lśniła niczym lustro. Chciałby popływać, żeby pozbyć się kaca, ale przed stawieniem się w pracy musiał zaprowadzić Caleba do szkoły. Nie uważał się za dobrego cieślę – tak naprawdę umiał robić tylko jedno, być żołnierzem – jednak praca była stała i blisko domu, a z powodu realizowanych projektów zarząd budownictwa potrzebował jak najwięcej rąk do pracy.

Kerrville pękało w szwach. Z Iowa przybyło pięćdziesiąt tysięcy ludzi i w ciągu zaledwie dwóch lat podwoiła się liczba mieszkańców miasta. Przyjęcie tylu osób nie było łatwe. Kerrville zbudowano z myślą, że liczba ludności nie ulegnie zmianie. Pary, które chciały mieć więcej niż dwoje dzieci, musiały płacić ogromne grzywny. Mogły mieć trzecie dziecko tylko w przypadku, jeśli któreś z dwójki zmarło przed ukończeniem dziesiątego roku życia.

Przybycie ludzi z Iowa zawaliło całą koncepcję. Brakowało żywności, paliwa i leków, wystąpiły problemy sanitarne – wszystkie bolączki, jakie wiążą się z przebywaniem zbyt wielu osób na za małym terenie, łącznie z konfliktami między dawnymi a nowymi mieszkańcami. Śpiesznie wzniesione miasteczko namiotów przyjęło kilka pierwszych fal uchodźców, ale z napływem kolejnych tymczasowe obozowisko szybko przemieniło się w enklawę biedy. Wielu przybyszów po latach pracy przymusowej miało kłopot z dostosowaniem się do życia, w którym nie wszystkie decyzje były podejmowane za nich – powszechne stało się powiedzenie „leniwy jak z Ojczyzny”; inni poszli w przeciwnym kierunku: naruszali godzinę policyjną, zapelniali burdele i szulernie Dunka, pili, kradli, bili się i generalnie dostawali amoku. Jedyną częścią populacji zadowoloną z tego stanu rzeczy byli gangsterzy, którzy obławiali się na czarnym rynku, handlując całą gamą towarów – od żywności, przez bandaże po młotki.

Ludzie zaczęli otwarcie mówić o wyprowadzce za mur. Peter przypuszczał, że przejście od słów do czynów jest tylko kwestią czasu. Od trzech lat nie widziano ani jednego wirola, draka czy głupek, więc narastały naciski na władze cywilne, żeby otworzyć bramę. Opowieści o wydarzeniach na stadionie w Ojczyźnie krążyły wśród mieszkańców w tysiącu różnych wersji – nie było dwóch takich samych – ale w końcu nawet najbardziej zatwardziali niedowiarkowie zaczęli akceptować koncepcję, że zagrożenie naprawdę przeminęło. Kto jak kto, ale Peter powinien zgodzić się z tym pierwszy.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na miasto. Prawie sto tysięcy osób: kiedyś taka liczba zwalałaby z nóg Petera, który wychował się w miasteczku – w świecie – liczącym mniej niż stu mieszkańców. Przy bramie, wyrzucając dieslowy dym w poranne powietrze, gromadziły się autobusy, żeby zabrać robotników do kompleksu rolnego. Zewsząd dobiegały dźwięki i zapachy życia, miasto się budziło i przeciągało. Epoka wirola dobiegła końca – ludzkość wreszcie rozkwitała. Kontynent czekał, gotów do wzięcia, a Kerrville było miejscem, gdzie zaczęła się nowa epoka. Dlaczego zatem wszystko wydawało się takie wątpliwe, takie kruche? Dlaczego, stojąc na zaporze w skądinąd podnoszący na duchu letni poranek, czuł wewnętrzne drżenie obawy?